

DELILAH GREEN  
MA TO GDZIEŚ



ASHLEY HERRING BLAKE

DELILAH GREEN  
MA TO GDZIEŚ

TŁUMACZYŁ  
MIŁOSZ URBAN



GORZKA  
CZEKOLADA

Tytuł oryginału  
DELILAH GREEN DOESN'T CARE

Copyright © 2022 by Ashley Herring Blake  
This edition published by arrangement with Berkley, an imprint of Penguin  
Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.  
Copyright © 2023 for this translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Ilustracja na okładce Leni Kauffman  
Projekt okładki Katie Anderson  
Skład i łamanie Radosław Stępniaik | **SIBSLY**studio

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie  
całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów  
w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest  
tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-356-4

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa  
Media Rodzina Sp. z o.o.  
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 50  
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk  
Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.  
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,  
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury.  
Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki  
legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie.  
Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów  
i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

**DLA REBEKKI PODOS, KTÓRA TOWARZYSZY MI  
W KAŻDEJ WYPRAWIE W NIEZNANE.**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

DELILAH OTWORZYŁA OCZY, przebudzona wibrowaniem telefonu na szafce nocnej. Zamrugwała, żeby odzyskać ostrość widzenia i rozejrzała się po obcym pokoju... a potem jeszcze raz... Była druga w nocy, może nawet jeszcze później. Po omacku sięgnęła w stronę komórki, ściągnając białe jedwabne przykrycie z nagich ud. Przewróciła się na bok, żeby jak najszybciej uciszyć wibracje, które były chyba dość głośne, by obudzić...

O cholera.

Znów to zrobiła. Imię dziewczyny leżącej obok przemykało się między wspomnieniami z ostatniego wieczoru, ale litery nie były dość wyraźne, by mogła je odczytać w rozgardiaszu wystawy w maleńkiej galerii Fitz na Greenwich Village – na ścianach kilka jej fotografii, między nimi sporo osób, które je chwaliły i z uznaniem kiwały głowami, jednak nigdy nie przejawiały dość zainteresowania, by je kupić, i szampan, który nie przestawał lać się strumieniami... a na koniec pełen kwiatów bar przy MacDougal Street i całe mnóstwo bourbona.

Delilah spojrzała przez ramię na śpiącą obok białą kobietę. Ciemne blond włosy obcięte w *pixie cut*, mleczna cera. Ładne usta, pełne uda i zjawiskowe dłonie.

Lorna?

Lauren.

Nie. Lola. Sto procent, że to była Lola.

Chyba.

Delilah przygryzła dolną wargę. W końcu złapała tańczący na nocnej szafce telefon i oślepiona jasnym ekranem zmrużyła oczy, by sprawdzić, kto dzwoni.

### Ass-trid

Zanim odrzuciła połączenie, zdążyła się jeszcze uśmiechnąć na widok tego, w jaki sposób zapisała w książce adresowej imię swojej przyrodniej siostry. To był odruch. Z jej doświadczenia wynikało, że telefon o drugiej w nocy rzadko zwiastował cokolwiek dobrego, szczególnie jeśli po drugiej stronie była Astrid Parker. No i najważniejsze, kto, do ciężkiej cholery, używał komórki do dzwonienia? Dlaczego Astrid nie mogła, jak każdy normalny człowiek, napisać, o co jej chodzi?

Okay, niech będzie. Przyjmijmy, że w skrzynce odbiorczej Delilah czekało kilka nieprzeczytanych wiadomości, jednak na jej korzyść przemawiał fakt, że przez ostatnie tygodnie była zupełnie nie do życia, zmagając się z perspektywą zapłaty kolejnego czynszu i przygotowaniami do wystawy w galerii Fitz, gdzie mogła liczyć na prezentację swoich prac tylko dzięki znajomości z właścicielką, Rheą Fitz, z którą dawniej razem pracowały jako kelnerki, a która odziedziczyła po babci sumę wystarczającą na otwarcie tego miejsca. Jej ostatnie tygodnie były wypełnione obsługą stolików w kawiarni River Café na Brooklynie, gdzie pracowała na część etatu, wykonywaniem portretów na zamówienie i fotografowaniem wesel, co i tak przynosiło łączny dochód ledwie starczający na pokrycie najmu mieszkania i jedzenie. Jedno potknięcie dzieliło ją od konieczności przeprowadzki do New Jersey, a jeśli kiedykolwiek jeszcze chciała dostać się przebojem do bezdusznego i okrutnego artystycznego światka Nowego Jorku, New Jersey pogrzebałoby jej marzenia. Co pewien czas znajdował się chętny na któreś z jej zdjęć, to fakt, ale jej prace były niszowe – jak określił je jeden z agentów,

uzasadniając odmowę reprezentowania jej interesów – a sztuka niszowa trudno się sprzedaje.

Więc tak, owszem, zavalona robotą po swoje niszowe łokcie, była zbyt zajęta, żeby oddzwonić i pogadać z przyrodnią siostrą. No i poza tym, Astrid tak naprawdę wcale jej nie lubiła. Ostatni raz widziały się dobrych pięć lat wcześniej.

Poważnie? Tyle czasu już minęło?

Późno już, szlag by trafił. Delilah położyła sobie telefon na piersi, a w jej myślach pojawiła się Jax. Pierwszy raz od bardzo dawna. Przynajmniej od kilku miesięcy. Zaciśnęła powieki. Po chwili je uniosła i wbiła wzrok w sufit obklejony świecącymi w ciemności gwiazdkami. Podniosła się gwałtownie i zdjeta paniką poczuła zimny dreszcz. Czy to mógł być pokój w akademiku? O, boże, tylko nie to! Delilah miała niemal trzydzieści lat, a studentki... no cóż, przechodziła już przez to i ten etap życia już zamknęła. Wolała kobiety w swoim wieku, zawsze tak było, i cieszyła się, że miała już za sobą trzepotanie rzęsami i dramy, których doświadczała jako dwudziestolatka.

Uspokoila się nieco, przyglądając się kolejnym elementom wystroju i czując pod palcami delikatną miękkość drogiej pościeli. Sypialnia była umeblowana w nowoczesnym stylu, pełnym prostych linii i białego drewna. Ściany zdobiła wyrafinowana i profesjonalnie dobrana sztuka. Drzwi prowadzące do dziennej części mieszkania były otwarte. Delilah przypomniała sobie wyraźnie, że to właśnie tam – Lana? Lily? – pchnęła ją na bardzo wytworną białą kanapę i zsunęła z niej bieliznę, a potem wyrzuciła ją za swoje – nagie już – plecy.

Nie, z całą pewnością ten styl wystroju wnętrza był znacznie powyżej poziomu akademika. Mało tego, był znacznie powyżej poziomu Delilah Green, dorosłej przecież osoby. Poza tym, umiejętności pracy ustami, które Lilith zademonstrowała jej zaraz potem, bez najmniejszych wątpliwości były zdecydowanie niestudenckie.

Delilah opadła na łóżko. Samo ich wspomnienie przyniosło jej ulgę. Powieki stały się ciężkie i z całą pewnością znów by się zamknęły, kiedy telefon ponownie zaczął wibrować. Momentalnie pozbyła się resztek senności, spojrzała na ekran i konsekwentnie odrzuciła połączenie od osoby, której imienia nie spodziewała się zobaczyć.

Layton poruszyła się obok, przewróciła na bok i spojrzała na Delilah. Pod oczyma miała ślady rozmazanego tuszu do rzęs.

– O. Cześć. Wszystko okay?

– Tak, pewnie...

Jej telefon ponownie ożył.

Ass-trid.

– Może powinnaś odebrać? – zapytała Linda. Zmierzwiłone włosy uroczo zsunęły się na jedno z jej błękitnych oczu. Nie, niemożliwe, by ta bogini seksu miała na imię Linda.

– Może...

– To śmiało. Jak skończysz, chciałabym ci coś pokazać.

Lydia – pewnie, tak też by pasowało – uśmiechnęła się szeroko i do samych bioder zsunęła z siebie przykrycie, by zaraz zasłonić się z powrotem po samą szyję. Delilah roześmiała się, wyszła spod narzuty i kompletnie naga wstała z łóżka. Niewiele brakowało, by w takim stanie odebrała telefon, ale zawahała się, złapała jedwabny szlafroczek – absolutnie niestudencki jedwabny szlafroczek – który wisiał przerzucony przez oparcie tapicerowanego, szarego krzesła w narożniku sypialni. Nie mogła i nie chciała rozmawiać z przyrodnią siostrą, będąc w negliżu.

Zarzucając szlafrok na ramiona, Delilah przeszła do małego salonu, który łączył się z otwartą kuchnią, wspięła się na wysoki stołek i oparła łokcie na chłodnym marmurowym blacie. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Strzepnęła dłonie i wykonała kolisty ruch głową. Musiała przygotować się na rozmowę z Astrid jak bokser do walki w ringu. Rękawice, ochraniacz na zęby. Na ekranie wyciszonego telefonu, który leżał

na blacie, raz po raz pojawiało się jej imię, po czym znikalo, by zaraz znów się pojawić niczym pozdrowienia z piekła. Dobrze, lepiej mieć to już za sobą. Przesunęła palcem po ekranie.

– Tak?

– Delilah?

Z głóśniczka popłynął miękki głos jej przyrodniej siostry. Brzmiała jak Cate Blanchett, z tą różnicą, że ton królowej biseksualności odznaczał się przez kij w dupie. Delilah od początku wiedziała, że Astrid będzie tak mówić, kiedy dorośnie.

– No? – odpowiedziała Delilah i odchrząknęła. Jej głos można by umieścić na skali gdzieś pomiędzy bełkotem po szóstym drinku a męczącą chrypą po latach braku snu.

– Trochę ci zeszło, zanim odebrałaś.

– Jest środek nocy – westchnęła Delilah.

– W Oregonie dopiero minęła jedenasta wieczorem. Poza tym, założyłam, że to najlepszy moment, żeby w ogóle cię złapać. Przypadkiem nie zmieniasz się po północy w nietoperza?

Delilah prychnęła.

– Żebyś wiedziała. A teraz wybac, muszę wracać do swojej jaskini.

Astrid zamilkła na kilka sekund. Dość długich, by Delilah zaczęła się zastanawiać, czy jej przyrodnia siostra wciąż tam jest; nie zamierzała jednak pierwsza przerywać ciszy. Przez telefon rozmawiały ledwie kilkanaście razy od dnia, w którym Delilah opuściła Bright Falls, zaraz po ukończeniu szkoły średniej, wskazując do autobusu do Seattle, z torbą sportową z logo Bright Falls High, a Astrid, w towarzystwie swoich okropnych koleżanek, wyruszyła na wycieczkę do Francji. Isabel, matka Astrid i zła macocha Delilah, zaopatrzyła obie dziewczyny w wystarczającą ilość gotówki, by zapewnić sobie spokój na kolejne dwa tygodnie. Różnica polegała na tym, że Astrid, jak przystało na dobrą córkę, wróciła przygotowywać się do dalszej nauki na uniwersytecie w Berkeley, a Delilah poleciała do Nowego Jorku i wynajęła

jednopokojową kłitkę na Lower East Side. Z punktu widzenia prawa była już dorosła i mogła robić, co chce, więc sam diabeł nie zmusiłby jej do pozostania w tamtym domu o sekundę dłużej, niż to konieczne.

Isabel raczej nie zdręczała się jej nieobecnością.

Astrid również nie, przynajmniej na tyle, na ile Delilah była w stanie to ocenić, jednak co pewien czas dochodziło do sytuacji, które wskazywały na coś przeciwnego. Zaczynało się od wiadomości tekstowych, ale te szybko przechodziły w niezręczne rozmowy telefoniczne, w czasie których Astrid starała się przekonywać, że nie zmieniała i tak samotnego dzieciństwa Delilah w piekło na ziemi. Delilah wracała do Bright Falls pięć czy sześć razy na przestrzeni ostatnich dwunastu lat – kilka razy spędziła tam Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia, raz przyjechała na pogrzeb, gdy zmarła jej ulubiona nauczycielka plastyki. Ostatnio była tam przed pięcioma laty, gdy uciekła z Nowego Jorku, by leczyć świeżo złamane serce, w naiwnym przekonaniu, że znajome otoczenie Bright Falls zadziałała niczym balsam. Nie zadziałało. Ale przyniosło jej to pomysł na serię zdjęć, dzięki którym przestała już dążyć do bycia ambitną fotografką, której ledwie starcza na czynsz, a zapragnęła stać się odnoszącą sukcesy queerową artystką z pięknym apartamentem na Williamsburgu.

Tego jeszcze nie osiągnęła. Ale się nie poddawała.

– To jak... jesteś już blisko?

Głos Astrid przebił się przez gąszcz jej wspomnień, więc zamrugała i rozejrzała się po kuchni Lucindy.

– Jestem już blisko... – westchnęła miękko. Miała na końcu języka sprośny dowcip, ale w porę się powstrzymała.

– O. Mój. Boże. Poważnie?! Powiedz, że nie chciałaś...

– Ja...

– Delilah! Powiedz, że nie!

– Staram się, ale musiałabyś się zamknąć na chwilę, żeby mnie usłyszeć!

Astrid sapnęła tak głośno, że prawie ją ogłuszyła.

– Dobra. Okay. Wybacz. Jestem zestresowana. Sporo się dzieje.

– Racja. – Delilah gorączkowo przeszukiwała wszystkie zakątki mózgu, by zrozumieć, co takiego się dzieje. – No więc...

– O nie! Nie, nie, nie! Nie spławisz mnie tak łatwo, Delilah Green! Powiedz, że nie próbowałaś mnie właśnie spławić!

– Jezu, Ass, może weź sobie xanax, co?

– Przestań tak do mnie mówić, to po pierwsze, a po drugie nie próbuj mnie spławić!

Delilah zamilkła i przez chwilę nic nie mówiła. Może widok własnych prac na ścianach galerii, nawet tak niewielkiej, i świetny seks niedługo potem trochę zaćmiły jej mózg, ale zaraz sobie przypomni, o co chodzi Astrid. Odsunęła telefon od ucha i włączyła głośnik, a potem uruchomiła aplikację z kalendarzem – sobota, drugi czerwca. Wcześniej, nad ranem. Wczorajszy piątek z całą pewnością był datą, o której od miesięcy myślała, bo długo przygotowywała się do wystawy w galerii Fitz. Ale zaraz... było coś jeszcze... coś czerwcowego, coś związanego z Astrid...

O kurwa.

– Twój ślub – powiedziała w końcu.

– Zgadza się, mój ślub – potwierdziła Astrid. – Ten, który od kilku miesięcy planowałam, i na który, przez naciski mojej matki, zatrudniłam ciebie jako fotografkę.

– Nie ekscytuj się tak.

– Znam inne słowo, które lepiej opisuje mój stan.

– Serio, nie polepszasz swojej pozycji, Ass.

Astrid fuknęła w słuchawkę.

– Hej, wciąż czuję się urażona, że nie zostałam druhną! – rzuciła Delilah śmiertelnie poważnym tonem.

Świadomość zbliżającego się ślubu jej siostry i tego, że jakiś nieszczęśnik miał być jej mężem, sprawiła, że serce Delilah zaczęło bić szybciej i poczuła mieszkankę ulgi i przerażenia.

Z jednej strony wesele w rodzinie Parkerów w Bright Falls to była absolutnie ostatnia rzecz, na którą miała w tej chwili ochotę. W zasadzie nie tylko w tej chwili, lecz kiedykolwiek. Na imprezie w galerii Fitz wymieniła uścisk dłoni z kilkoma agentami i sprzedała całą jedną pracę – prawdopodobnie jej mecenaska spała właśnie w sąsiednim pomieszczeniu. Była jednak na sto procent przekonana, że Loretta wyłożyła kasę, jeszcze zanim rzuciła w jej stronę choćby jedno zalotne spojrzenie. A przynajmniej tak to zapamiętała, bo za bardzo zajmowały ją próby zapanowania nad paniką wywołaną myślą, że ktoś chce wymienić na twardą gotówkę to, co stworzyła.

Niezależnie od tego, jak to naprawdę wyglądało, to nie był czas na idiotyczne wymysły Astrid i/lub Isabel. Delilah czuła, że stanęła na krawędzi przelomu, u progu szansy na to, aby stać się kimś, a Bright Falls jawiło się jako dołujące zadupie, gdzie była nikim.

Jednak z drugiej strony pojawiła się dłoń, która próbowała ją nakarmić i odziać – Isabel Parker-Green zaoferowała jej absurdalnie wysoką sumę za fotografowanie ślubu Astrid i dwa tygodnie przygotowań do tej uroczystości. Z opornie powracających strzępków wspomnień pierwszej rozmowy, kiedy Astrid zadzwoniła, by przekazać Delilah radosną nowinę, wynikało, że w grę wchodziła pięciocyfrowa kwota. Z dolnego zakresu pięciocyfrowych kwot, ale mimo wszystko pięciocyfrowa. Drobne dla Isabel Parker-Green i większości brooklińczyków, jednak dla Delilah, która potrafiła kilka dni przeżyć za jednego dolara, byłaby to kroplówka ratująca życie jej umierającemu kontu bankowemu.

Oprócz pieniędzy, co do których jej przyrodnia siostra musiała wiedzieć, że Delilah nie może z nich zrezygnować, Astrid

posłużyła się subtelną manipulacją, mówiąc: „Mama powiedziała, że twojemu ojcu zależałoby, żebyś była na moim ślubie”. Delilah wciąż nienawidziła jej za te słowa, ale głównie dlatego, że były prawdziwe. Andrew Green był za życia wyjątkowo rodzinnym człowiekiem, tak bardzo, że aż do przesady, bo upierał się przy wspólnych kolacjach, rodzinnych wyjazdach na wakacje, kulturowaniu bożonarodzeniowych tradycji, wspólnym odrabianiu zadań domowych, a nawet nauczył się zaplatać warkocze, żeby Delilah nie była jedyną dziewczynką bez wianka z warkoczy na wycieczce klasowej na jarmark renesansowy.

Dlatego ślub Astrid nie podlegałyby żadnym negocjacjom. Przyjeżdżasz, bo to rodzina, niezależnie, czy ci za to płacą, czy nie, i czy będziesz musiała przez cały czas zaciskać zęby.

– Wszystkie przedślubne imprezy zaczynają się w niedzielę – dodała Astrid. – Zgodziłaś się uczestniczyć w nich od samego początku, pamiętasz? Szczegóły, które ci przesłałam? Jesteś zabukowana od trzeciego do szesnastego czerwca. Podpisałam z tobą umowę, zgodziłam się na wszystkie warunki i...

– Wiem, wiem... – Delilah potaknęła i przeczesała dłonią włosy. Cholera, za nic nie chciała wracać do Bright Falls, a już na pewno nie na dwa tygodnie. Tym bardziej że to był przecież Miesiąc Równości. Uwielbiała ten czas w Nowym Jorku. Kto w ogóle zaczyna te wszystkie ślubne bzdury na tak długo przed samym ślubem? No cóż, to akurat Delilah wiedziała.

– Astrid...

– Ani się, kurwa, waż...

– Uważaj na słownictwo, Ass. Pomyśl, co by na to powiedziała Isabel.

– Powtórzyłyby to za mną, a potem dodała coś znacznie gorszego, gdyby dowiedziała się, że próbujesz w ostatniej chwili wystawić jej jedyną córkę do wiatru!

Delilah sapnęła gwałtownie, choć chciała nad tym zapanować. Jej jedyną córkę.

Próbowała zignorować ukłucie i zlekceważyć słowa przyrodniej siostry, ale poległa. To był odruch. Reakcja na wspomnienie z dzieciństwa spędzonego jako pełna sierota, pod opieką macochy, której nigdy na niej nie zależało.

– Cholera – mruknęła Astrid. Miała skruszony i jednocześnie pełen irytacji ton, jakby to przez Delilah zapomniała, że Isabel została prawną opiekunką przyrodniej siostry po śmierci jej ojca, drugiego męża Isabel; pękł mu tętniak, kiedy Delilah miała dziesięć lat.

– I znów przeklinasz – mruknęła Delilah, śmiejąc się przez zaciśnięte gardło. – Chyba mogłabym nawet polubić tę nową, bardziej agresywną Astrid.

Jej przyrodnia siostra nie odpowiedziała. Milczała tylko przez kilka sekund, ale dość długo, by Delilah zyskała pewność, że z samego rana uda się na lotnisko JFK i wsiądzie do samolotu.

– Po prostu bądź, okay? – mruknęła Astrid. – Jest już za późno, żeby znaleźć kogoś dobrego na twoje miejsce.

Delilah otarła twarz otwartą dłonią.

– Aha.

– Czyli?

– Tak! – Delilah niemal krzyknęła. – Będę.

– Świetnie. Zarezerwowałam ci już pokój w hotelu Kaleidoscope...

– Czekaj... chcesz powiedzieć, że nie nocuję u Matki Najwspanialszej?

– ...i przesłałam mailem cały plan. Ponownie.

Delilah mruknęła coś pod nosem i zakończyła połączenie, żeby nie dać Astrid okazji, by mogła rozłączyć się pierwsza, a potem upuściła telefon na blat, jakby parzył ją w dłonie. Odkręciła korek z w połowie pełnej butelki ginu, usiadła obok zlewu i wypila duży łyk prosto z szyjki, nie szukając nawet szklanki. Alkohol palił w gardło, oczyścił nos i wypełnił jej oczy łzami.

Dwa tygodnie. To tylko dwa tygodnie.

Dwa tygodnie i dość kasy, by pokryć trzy miesiące najmu mieszkania.

Podniosła telefon, który tak podle ją zdradził, i wróciła do sypialni. Szlafroczek Lanier zsunął się na podłogę, a ona w stosie zwiniętych rzeczy przy toalecie znalazła swój czarny kombinezon, który odsłaniał jej pokryte tatuażami ramiona. Włożyła go i przez kolejnych dziesięć sekund szukała swoich ulubionych koronkowych majtek typu cheeky w fioletowym kolorze – ale bezskutecznie.

– Pieprzyć to – mruknęła, zarzuciła sobie torebkę na ramię i związała grzywę kręconych, czarnych włosów w luźny kok. Znalazła swoje wysokie czerwone szpilki tuż obok opartej o ścianę wielkiej biało-czarnej fotografii. Zdjęcie przedstawiało białą kobietę w delikatnej, białej sukience, ze śladami rozmazanego tuszu do rzęs na mokrych policzkach, która spoglądała prosto w obiektyw. Leżała w wannie; przez kompletnie przemoczony materiał delikatnie przezierały jej sutki, ledwie widoczne nad białawą wodą. Dłonie trzymała zaciśnięte na pordezwiązanym rancie białej wanny. To ona je wykonała i było wśród czterech dzieł prezentowanych w galerii Fitz. Wspomnienie Leili/Lucy/Luny wyjmującej prawdziwą gotówkę i zaraz potem wpychającej jej język do ust wyłoniło się z mgły i nabrało ostrości. I tylko nie mogła przypomnieć sobie tego cholernego imienia.

– Hej – powiedziała kobieta w łóżku i podniosła głowę z poduszki. Zmrużyła oczy i przyjrzała się Delilah widocznej tylko dzięki światłu z ulicy. Miała potargane włosy. – Poczekaj. Wychodzisz już?

– Tak jakby – odparła Delilah, wkładając buty. Potem sprawdziła, czy w torebce na pewno ma portfel, kartę do metra i klucze. – Dzięki. Było super.

Leah się uśmiechnęła.

– O, tak. Było. Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić do łóżka?

Uniosła brew i zsunęła z siebie przykrycie na tyle, by widać było jej piersi.

– Bardzo bym chciała – odmówiła Delilah, przesuając się w stronę drzwi.

Propozycja była kusząca, ale jej mózg skupił się już na innych sprawach. Myślała o powrocie do mieszkania, zastanawiała się nad wyborem ciuchów, które powinna spakować na ślub i nieskończoną liczbę imprez towarzyszących, i oczywiście nad wszystkimi wieczorami panieńskimi, które zaplanowała Astrid.

Astrid i jej licealna szajka.

London posmutniała.

– Cóż. No dobrze. To może... następnym razem?

Delilah odwróciła się do niej plecami i ruszyła w stronę korytarza. Otwierając drzwi na zewnątrz, uniosła dłoń.

– Koniecznie. Na sto procent.

Choć wiedziała, że na pewno nie.

Bo nigdy nie było następnego razu.

W drodze metrem do mieszkania w Bed-Stuy uświadomiła sobie, co tak naprawdę ją czeka. Powrót do Bright Falls to jedno, ale dwa tygodnie w towarzystwie i na zawołanie Astrid i Isabel? To coś zupełnie innego.

A sama nie miała zamiaru im niczego ułatwić.